

Anioł kopalni węgla



JULES GABRIEL VERNE

Anioł kopalni węgla

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

TŁUM. NIEZNANY

ROZDZIAŁ I

Była to okolica bardzo malownicza. Nie dostrzegano się tu ani skał urwistych, ani przepaści przerażających, tylko pagórki uśmiechnięte, pokryte zielenią drzew; trawniki gęste i szerokie strumyki, użyźniające łąki ubarwione kwiatami.

Rozrzucone tu i owdzie na płaszczyźnie ładne domki bielili się pomiędzy drzewami, dobrobyt panował w okolicznych wioskach, i śpiew rolników zlewał się często ze szczebiotem ptasząt.

Jak tylko w początkach XIX wieku utworzyła się w bliskości tych miejsc tak świeżych, wesołych, uroczych, zielonych, kopalnia węgla, natychmiast zmieniła swoje oblicze cała powierzchnia kraju.

Kłęby dymu pokryły atmosferę, jakby kirem żałobnym; woń kwiatów zastąpiły jadowite wyziewy, a echa rozlegały się li tylko brzękiem łańcuchów i skrzypieniem trybów maszynowych.

Ludzie, pracujący przy kopalni, wyglądali tak dziko, że wieśniacy przypatrywali im się z pewnego rodzaju bojaźnią.

Niektórzy z mieszkańców często zbliżali się do krawędzi studni, służącej jako wejście do kopalni węgla, ale nikt z nich nie miał odwagi wejść do podziemi.

Powiadano bowiem, że od chwili, kiedy kopacz wstępuje w koszyk, zawieszony nad przepaścią, w którym spuszcza się do wnętrza kopalni, życie jego zostaje w ciągłym niebezpieczeństwie. Podczas przeprawy bowiem trzeba się było ciągle obawiać i niebezpiecznego spotkania z drugim koszem, idącym w górę.

Przy wymijaniu odpycha się go nogą, ale jeśli przytem wykona się jakiś ruch niezręczny lub oprze się ręką o gładką i śliską ścianę studni, wówczas kosz zaczyna gwałtownie wirować, i siedzący w nim, straciwszy przytomność, spada na dół.

Jeśli tego wypadku szczęśliwie uniknie, może się urwać sznur, upaść kosz, oberwać jakiś odłam kamienia i zabić lub zranić zjeżdżającego.

Wewnątrz kopalni jeszcze większa obawa niebezpieczeństwa, gdyż zdarzają się wypadki zawalenia się sklepień, oberwania się ścian bocznych, wybuchu gazów piorunujących, zalania wodą, słowem, życiu górników ze wszystkich stron zagraża tysiące niebezpieczeństw, większych i okropniejszych, niż w czasie walki na polu bitwy. Pozbawieni powietrza i światła, brodząc w błocie pod sklepieniem mokrem i niskim, zgięci, bez możliwości wyprostowania się, pracują często w postawach takich, że trudno pojąć, jak mogą w ten sposób trwać po kilka lub kilkanaście godzin bez przerwy.

Zadziwieni tem opowiadaniem wieśniacy oddalali się z przekonaniem, że los ich jest istotnie szczęśliwszym od doli biednych górników, połowę życia we wnętrzu ziemi przepędzających.

Mimo tego znalazła się przecież młoda dziewczynka, która zapragnęła poświęcić się pracy górniczej¹.

¹*młoda dziewczynka, która zapragnęła poświęcić się pracy górniczej* — dziś w wielu krajach prawo zabrania pracy kobiet w kopalniach, ale w czasie, w którym się akcja naszej powieści odbywa, nie było pod tym względem ograniczenia. [przypis autorski]

Młodziutka, zaledwie czternastoletnia, miała ojca chorego, widziała go w cierpieniach, więc postanowiła nieść mu pomoc według sił i możliwości.

Jan Iward żył niegdyś w dostatkach, ale różne niepowodzenia wyzwały go ze wszystkiego, co posiadał.

Zamieszawszy na wsi z dwiema córkami, Maryą i Anną, dopóki mógł — pracował na zaspakajanie potrzeb domowych, ale złożony dotkliwą chorobą, przykuty do łoża boleści, spostrzegł, że wkrótce całej rodzinie grozi straszna nędza.

Starsza córka, Marya, wylewała obfite łzy, pracowała bez wytchnienia, lecz w nieszczęściu nie miała tej koniecznej dzielności charakteru, który pomaga, aby walczyć z wszelkimi przeciwnościami i pokonywać przeszkody jedne po drugich.

Anna, młodsza jej siostra, była charakteru zupełnie innego: zastanawiająca się, rozważna, niczem się niezrażająca.

Matka ich już nie żyła, ojca obie kochały bardzo, ale gdy Marya nie zastanawiała się, że przewyższał wielu szlachetnością duszy, rozumem i niczem nieustraszoną odwagą, Anna umiała oceniać w nim wszystkie te przymioty, i z miłością ku niemu łączyć bezmierne uwielbienie.

Gdy mu się z ust wyrwała skarga, Anna czuła, że jej serce omdlewa, bo pojmowała, że cierpiał męki nadludzkie.

Wtenczas to, myśląc, że drobna kwotka pieniędzy wystarczyłaby, aby mu kupić to, co mogłoby przynieść ulgę w cierpieniu, a może i uzdrowienie, sądziła, że nie było pracy, którejby, dla zdobycia owej kwotki, nie zdołała dokonać.

Ale któżby chciał dać jakąkolwiek pracę dziewczęciu na pozór tak wątłemu?

Pewnego dnia atoli zdawało się jej, że znalazła sposób urzeczywistnienia swoich marzeń.

Od chwili otwarcia kopalni węgla powstało w okolicy mnóstwo lichych lepianek, nędznie skleconych i pobielonych wapnem, które służyły za mieszkania dla górników i ich rodzin.

Nadto powiedziano jej, że do pracy w kopalni używano również wyrostków, i że zarobek ich był dość znaczny. Anna postanowiła skorzystać z tego.

Pewnego dnia, na chwilę przed powrotem robotników, idąc ulicą, utworzoną przez dwa szeregi domków, zatrzymała się przed jednym z nich.

W tejże chwili z drugiej strony pokazał się chłopaczek ośmioletni, idący powoli, jakby znużony zbytnim poprzednim wysiłkiem.

Stojąca na ganku domu kobieta, ujrawszy go, mruknęła coś i weszła do wnętrza mieszkania, chłopaczek zaś przyspieszył kroku, lecz kiedy już dobiegał do ogrodzenia, potknął się i upadł.

Anna podbiegła z pomocą i krzyknęła z przestrawieniem, zobaczywszy krew, która sączyła się po twarzyczce chłopca.

Zaczęła go uspakajać, ocierać...

Matka, spostrzegłszy to, rozgniewała się na chłopca za nieuwagę, a Annę zaprosiła do wnętrza mieszkania, oświadczając, że ją uczęstuje za grzeczność i dobroć serca, jaką okazała jej synowi.

Pokoiki były dość starannie utrzymane: znajdował się w nich zegar, wielka szafa, łożko nakryte perkalową kołdrą, a na półkach przy jednej ze ścian kuchni świeciły starannie poustawiane naczynia miedziane i sprzęty gospodarskie.

Od tyłu okna wychodziły na mały ogródek, w którym zwykle górniczy ze szczególną starannością utrzymują kwiaty. Na stole pod oknem stała przygotowana wieczerza z gorącym jadem, do której z pośpiechem zasiadł zaraz młody chłopczyna i z tak wielką chciwością począł zajadać, że aż Annę to zadziwiło.

— Dziwisz się, panienko — rzekła matka — że mój zgłodzony chłopczyna ledwie się nie zadławi przy jedzeniu?... Ależ biedaczek od pół doby nic miał w ustach, oprócz szklanki mleka i kawałka chleba!

— Od pół doby! — powtórzyła Anna z wielkiem podziwieniem. — I dlaczego?...

— Dlaczego? dlaczego? — przerwała kobieta. — Bo jest traperem, a traper na chwilę zejść ze swego stanowiska nie może.

— Czy zajęcie trapera bardzo jest ciężkie?

— Nie, panienko! — odrzekł chłopczyna — praca łatwa, ale niezmiernie nudna i przykra. Ja nic więcej nie robię, tylko całe dwanaście godzin, od szóstej rano do szóstej wieczorem, siedzę skulony we framudze, tak wielkiej, jak kominiek pokojowy i trzymam sznurek od kłapy. Jest to rzecz niezmiernie łatwa i każdy potrafi to zrobić, ja też sznurek ciągle trzymam, a gdy usłyszę głos człowieka, wiozącego małym wózkiem węgle, odmykam klapę, i po przejściu jego znowu ją przymykam. Nad tą robotą nie namęczę się, tylko nudzi mi się straszliwie, bo w ciemnicy nie widzę nic, nawet własnej ręki, i nawet jednego słówka nie mam do kogo przemówić. Nieraz zdaje mi się, że nie mam oczów, i dopiero dotknąwszy się ich ręką, przekonuję się, że je posiadam.

— A dlaczegoż nie prosisz o światło? — zapytała Anna. — Mógłbyś brać ze sobą książkę i czytać ją...

— Ach, panienko! — odrzekł chłopczyna z westchnieniem — kiedy czytać nie umiem...

— Nie było czasu myśleć o nauce! — szepnęła matka — już od roku pracuje w kopalni. Życie drogie, musi więc chłopiec na siebie zarabiać, bo inaczej nie dalibyśmy sobie rady.

— To może syn pani mógłby być użytym w kopalni do innego zajęcia?

— Lżejszego, panienko, już niema... Chybaby nosił węgle, albo woził je wózkiem, a to jeszcze trudniej, bo wtedy musiałby pełzać na rękach i kolanach pod skalistymi sklepieniami, częstokroć niemającymi więcej nad dwie stopy wysokości. Zresztą łańcuch i powróż, którymi się w takich razach kępują, ranią często aż do krwi.

— Ja się nie lękam niczego! — zawołał chłopczyk, ocierając usta — tylko obawiam się gniewu dozorczy min, gdyby mnie znalazł śpiącego, albo gdybym mu kazał długo stać u drzwi i kłapy za zbliżeniem się jego nie otworzył.

— O, mój Boże, mój Boże! — zawołała płacząc z politowania — jakże pani może dziecię swoje skazywać na takie męczarnie!

— Trudno, moja panienko, trzeba żyć, a on, choć młody, jednak zarabia dziesięć pensów dziennie.

— Dziennie dziesięć pensów! — zawołała Anna z radością — ach! to więcej, niż mi potrzeba. Powiedz mi, błagam cię, czy w kopalni używają do roboty małych dziewczyn?

— Używają, owszem, ale jest to praca niezmiernie ciężka.

— O, pani! — zawołała Anna tonem najgorętszej prośby — wystaraj się dla mnie o taką pracę, choćby za połowę tej zapłaty, którą dają innym, a ucałuję ci ręce i nogi.

Gdy to Anna mówiła, młody robotnik, który przed chwilą wszedł do izby, spojrzął na dziewczynkę ze współczuciem, i udając, że się rozmowie nie przysłuchuje, zwracał jednak na wszystko pilną uwagę. Łucya, (tak się nazywała matka chłopczyny), wysłuchawszy prośby Anny, pokręciła głową i odrzekła:

— Dla ciebie, panienko, praca w kopalni na nicby się przydała! Wyglądasz, jak pani, jesteś wątła i bojaźliwa, umarłabyś z utrudzenia, jeżeli nie ze strachu podczas spuszczenia się do kopalni... Szukaj innego zajęcia!

— Wszędzie go już szukałam, ale nadaremnie.

— Ależ chyba nie wiesz, że górnicy są narażeni na największe niebezpieczeństwa?

— Wiem o tem, i na tych właśnie niebezpieczeństwach opieram moje nadzieje. O, gdybyś pani wiedziała, co cierpi mój ojciec!... W chwili, gdy pozostaje samotnym, zalewa się łzami, trapi go choroba, martwi bieda w domu i przyszłość nasza... Pod brzemieniem cierpienia ugina się, choć taki mężny, silny i odważny. Bylejaki zarobek uspokoiłby go, zapewnił większe wygody, i na twarz jego, tak zacną i kochaną, sprowadził uśmiech zadowolenia, tyle przez nas upragniony. Zarobku zatem potrzebuję koniecznie, choćby mi przyszło przytem narażać się na największe niebezpieczeństwa. Dopomóż mi, pani, do wynalezienia jakiegokolwiek zajęcia w kopalni, a ujrzę cierpienia mego ojca uspakajające się, ujrzę go zasypiającego spokojnie!

Mówiąc tak, z nadzwyczajną gwałtownością łamała ręce, i gęste łzy spłynęły po jej twarzy.

Anna była panienką niezmiernie delikatnego i łagodnego usposobienia; cera jej twarzy, zręczność i wdzięk w poruszeniach, drobne i delikatne jej ręce świadczyły, pomimo ubóstwa jej ubioru, że nie była stworzoną do pracy, której poświęcić się chciała.

Łucya patrzyła na nią z litością, połączoną z uszanowaniem.

— Biedne dziecię! — rzekła — to, o co mnie prosisz, nie odemnie zależy. Wszystko, co mogę zrobić, to jedynie przemówić za tobą. Przyjdź jutro wieczorem, mój mąż przedstawi swoim przełożonym twoją prośbę i uwiadomi cię, jaką dadzą odpowiedź.

Anna podziękowała serdecznie, i wyszła z wielkim bukietem kwiatów, który jej Łucya z własnego ogródka ofiarowała. Młody robotnik, którego widzieliśmy z taką uwagą przy słuchającego się rozmowie Łucyi z Anną, był dość blizkim, choć przez Annę nieznanym jeszcze jej krewnym.

Ojciec jego, właściciel kopalni, gdzie pracował mąż Łucyi, był stryjecznym bratem ojca Anny.

Z początku młodzieniec, usłyszawszy o ubóstwie rodziny swojej, chciał prosić ojca o materyjalną pomoc dla krewniaków, wnet jednak zmienił zamiar. Wiedział on, że pan Iward odrzuciłby wszelkie pieniężne wsparcie nawet od rodzzonego brata. Postanowił więc pomódz im inaczej, mianowicie dać zarobek Annie.

To też, spotkawszy Annę, wychodzącą już z mieszkania, nie przedstawił się dziewczęciu, lecz ujął je za rękę i rzekł głosem głęboko wzruszonym:

— Odwagi, dobra panienko, odwagi! Opatrzność będzie czuwała nad tobą, bo dobrych dzieci ze swej opieki nigdy nie wypuszcza.

Anna, oddalając się, rozmyślała o konieczności ukrycia przed ojcem tego, co robić zamierzała, i o wynalezieniu powodu swej nieobecności, która miała trwać dni całe.

Gdy za powrotem zapytał ją, gdzie tak długo bawiła, odrzekła, rumieniąc się i pokazując kwiaty:

— Mój ojczu, byłam u pani Łucyi, bardzo dobrej i uczynnej osoby, która przyobiegała mi wynaleźć jakieś płatne zajęcie.

— Tobie, moja córko?

— Tak, ojczu! Czyż nie jestem w wieku odpowiednim do pracy?

— Niestety, jeszcze jesteś młoda i wątła. Najlżejsza praca może ci zaszkodzić.

— Zdaje ci się, mój ojczu! Wreszcie, choćbym miała doznać trochę utrudzenia, to czyż za nie nie byłabym stokrotnie wynagrodzoną, widząc cię, ojczu, spokojniejszym, i nie tak jak dotychczas zakłopotanym?

— O, jeżeli tak, moje dziecko, niech ci Bóg dopomaga i błogosławi! Szukaj pracy, przyda ci się ona w przyszłości, gdy wreszcie Bóg ulituje się nade mną!

Nazajutrz wieczorem Anna, umocniona w swem postanowieniu, wymknęła się i pobieгла do pani Łucyi, od której dowiedziała się z wielką radością, że jej prośba została przyjętą.

Dobra kobieta udzieliła jej mnóstwo rad i przestrog, co do nowych obowiązków. Umówiono się, że jutro, skoro świt, Anna przyjdzie do nich, aby pierwsze zejście do kopalni odbyć w towarzystwie Toma, męża Łucyi, który przyrzekł wziąć ją pod swoją opiekę.

Biedna Anna! Jakież wzruszenia miotają ją, gdy przed ranną jutrzenką opuszczała dach ojcowski...

Na szczęście pan Iward używał właśnie tych krótkich chwil spoczynku, które mu się tak rzadko zdarzały.

Anna zachowywała się ostrożnie, aby go nie zbudzić. Uściskała serdecznie Maryę i wyszła z domu z duszą tak przygnębianą, jakby już nigdy nie miała powrócić.

U Łucyi już na nią czekano, zaraz też wszyscy ruszyli w drogę, i wkrótce zatrzymali się przy studni, która służyła za wejście do kopalni.

Aby dać pojęcie, jakim było podówczas wejście do kopalni, przytoczymy tu ustęp ze współczesnego dzieła, poświęconego opisowi „Europy Przemysłowej”:

Co to jest zstąpienie do kopalni węgla?... Oto wyobraźmy sobie, że stoimy na szczycie wieży kościoła „Notre Dame” w Paryżu. Malutki okrągły statek zwany *benne*, czyli poprostu koszyk, mający zaledwie dwie stopy głębokości, opuszcza się przed nami, chwając się na końcu grubej liny, i oddalony od muru na całą długość ręki.

Gdy czas wsiadać, żegnaj się z niebem i obłokami, schylaj się nad przepaścią, tak, iż można stracić równowagę. Chwila straszna; musisz stąpnąć jedną

nogą w kosz, nie więcej jak jedną, bo druga się nie zmieści, i spuszczasz się w bezdeń, wirując bez chwili przystanku to w prawo, to w lewo.

Anna uczuła zawrót głowy, gdy trzeba było przebyć próżnię, aby wejść w powietrzny statek. Jak mogła, tak się powstrzymywała, aż wreszcie z przerażeniem krzyknęła:

— Ach, podtrzymajcie mnie, bo upadnę!

— Śmiało, odważnie!... — odezwał się tuż przy niej jakiś głos.

Anna odwróciła się, i ujrzała Franciszka, owego wczoraj poznanego robotnika, który jej powtórzył:

— Odwagi, panienko! Bóg strzeże i wspiera słabych!

Zresztą silna, szorstka ręka Toma już ją trzymała bez najmniejszej trudności, gdyż dla górników zjeżdżanie do kopalni jest zwyczajnym i spowszedniałym.

Odurzona Anna trzymała się mocno liny, do której był przywiązany kosz; na szczęście, mogła w nim umieścić obie swe nogi.

W miarę tego, jak spuszczała się pod ziemię, udręczenie jej zwiększało się; widziała widnokrag zwężający się, światło dzienne znikające; powietrze stawało się przyduszone, gęściejsze, temperatura wyższa.

Czasem szum wody ogłuszał ją na chwilę, jak gdyby gwałtowne wodospady miały się rzucić na nią, porwać i zatopić; czasem oczy jej rażone były blaskiem i gorącem wielkich ognisk, około których trzeba się było przesuwac.

Nic też dziwnego, że w głowie i w myślach Anny wszystko się kotłowało, chwilami zapytywała sama siebie, czy żyje jeszcze, czy też dusza jej stacza się już ku miejscu pokuty?

Nakoniec poczęły ją dochodzić z dołu nowe odgłosy: dźwięki głosów ludzkich występujące z głębi przepaści i zwiększające się co chwila.

Anna, oswajając się ze swem położeniem, przysła powoli do przytomności i domyśliła się, że zbliża się już do kresu swej niebezpiecznej podróży.

Nie śmiała się jednak poruszyć, wzniosła tylko oczy z przerażeniem ku przestrzeni, którą przebyła, i którą trzeba będzie jeszcze raz przebyć, aby wydostać się z tego okropnego miejsca, i zobaczyła małutki świecący punkcik: to była dla niej cała widzialna część nieba.

— Drżąca, bliska omdlenia, z trudnością postąpiła ku odłamowi skały, na której upadła raczej, niż usiadła.

Istoty jakieś dziwne krążyły koło niej, szły i wracały w otchłaniach krętych przejść, galeryi, korytarzy wązkich, ciemnych i wilgotnych, które schodziły się w punkcie wejścia do kopalni, lub wikłały, jak zakręty labiryntu.

Krzyki, śpiewy dziwaczne rozlegały się pod sklepieniami, wstrząsanemi niekiedy hukiem, podobnym do wystrzałów armatnich.

Były to wybuchy prochu, używanego do rozsadzania skał.

Przy czerwonych błyskach latarni, umieszczonych w pewnych odstępach, Anna rozpoznała nakoniec, że ta gromada żyjąca, która ją otaczała, składała się ze zgiętych we dwoje kobiet, mężczyzn i dzieci, z worami węgla na plecach, oraz koni i mułów, zaprzężonych do ciężkich wózków.

Oszolomiona, nie mogąc pojąć, co się wkoło niej dzieje, ujrzała nagle przysuwającego się ku niej Tomasza, męża Łucyi, który trzymając coś w rodzaju kosza płaskiego, rzekł:

— Weź to, moje dziecko, włóż na ramiona i chodź za mną. Zaprowadzę cię do miejsca dla ciebie do pracy przeznaczonego.

Rzekłszy to, zapuścił się w galeryę, zrazu na tyle wysoką, że mógł postępować razem z Anną, ale wkrótce przejście to zaczęło się stawać coraz niższem i ciaśniejszem, wreszcie Tom zatrzymał się, mówiąc:

— Dalej, moje dziecko, nie mogę ci towarzyszyć, gdyż już nie zmieściłbym się w tem przejściu podziemnem. Musisz zatem iść sama aż do rębaczy, od których po napełnieniu kosza, wrócisz do miejsca, które ci już ukazałem.

ROZDZIAŁ II

Anna pozostała sama wśród ciemnego podziemia; zdawało się biedaczce, że lada chwila wszystko runie na nią, że się zabłąka w labiryncie tym bez wyjścia i że już nigdy nie zobaczy jasnej, oświeconej słońcem przestrzeni nieba.

Straciła zupełnie odwagę, chciała krzyknąć, ale głos jej zamarł w piersi. Zebrała jednak myśli i złożywszy pobożnie ręce, szepnęła:

— Boże, nie opuszczaj mnie!

Pokrzepiona modlitwą, ruszyła śmieiej w dalszą drogę.

Przejście stawało się coraz ciaśniejsze i niewygodniejsze, wreszcie Anna z wielką radością ujrzała się pośród jasno oświetlonej przestrzeni z nagromadzonymi wielkimi stosami węgla, około których dzieci, od ośmiu do dwunastu lat, zebrane w dość wielkiej liczbie krzątały się pilnie.

Była to chwila przeznaczona na przenoszenie węgla. Nikt nie zważał na Annę, nikt się nią nie zajmował; naśladując też swoje towarzyszy, podsunęła i ona ku robotnikom koszyk, który w jednej chwili napełniono ładunkiem. Jednocześnie dwóch silnych robotników ciężar ten włożyło jej na plecy.

Anna ugięła się, ale na rozważanie nie było czasu, poszła więc za drugimi.

W korytarzu, którym postępowała, często się potykała, potrącała o ściany. Idące za nią robotnice nagliły do pośpiechu; nieraz zdawało jej się, że traci siły. Doszła jednak do oznaczonego miejsca, i wysypując węgle, z uczuciem niewysłowionej radości pomyślała:

— No, Bogu dzięki, pierwsza próba powiodła się, przezwyciężyłam samą siebie, stanę się teraz pomocą dla mego ukochanego ojca. Jakaż wielka radość napełnia moje serce!

Po długich godzinach zajęcia nadszedł dla robotników czas posiłku południowego i godziny wytchnienia, których tak potrzebowali.

Wnet wszystkie ręce wstrzymały się od pracy, drągi powbijano w stopy węgla, ładunki, złożone na prędcy, leżały na samym środku drogi, tłum ludzi zapełnił galeryę, wiodącą do miejsca, zwanego przez górników: salą jadalną. Był to wspaniały olbrzymi pokój, z pysznymi gładkimi kolumnami, w którym zdawało się, że złoto i błękit łączyły się z hebanem, że sklepienie przystrojone kropelkami wody, lśni się perlami rosy. Tysiączne pochodnie rzucały na tę scenę światło tak jasne, jak światło pająków i kandelabrow wielkiej opery paryskiej.

Wszyscy górnicy, zasiadłszy wkoło pod ścianami na wilgotnym gruncie, zawiesili lampy i wydobyli z torby zapasy żywności.

Anna z podziwieniem rzucała spojrzenia na błyszczące ściany i sklepienia tej szczególnej sali jadalnej.

Zdumienie jej spostrzegł Franciszek, i zwracając się do niej, rzekł z przyjaznym uśmiechem:

— Nasza mała nowicyuszka zapewne niespodziewała się znaleźć pod ziemią tak wspaniałej sali? Nieprawdaż, że robotnicy w tej sali przedstawiają bardzo piękny i zajmujący obraz?

— Tak — rzekł drugi robotnik — ale to nic jeszcze. Gdybyście zobaczyli „Polskie zupy solne” (kopalnie soli w Wieliczce pod Krakowem), to dopiero godne podziwu i uwielbienia. Prawdziwe to miasto podziemne, z ulicami wyprowadzonymi pod sznur, olśniewającymi zawsze jednolitą białością i jasnością. Ludność promieniejąca zadowoleniem, tłoczy się w chwilach wypoczynku w rozmaitych kierunkach, jakby na wielkich placach i pokojach. Nakoniec, czy uwierzycie, że w kopalniach Wieliczki znajduje się jezioro, na którym w dniu uroczyste puszczają fajerwerki. Sklepienie nad jeziorem jest tak wysokie, że nawet najsilniejsze racy nigdy nie dobiegły do jego szczytu.

Wówczas to było co widzieć, gdy ściany i kolumny wspaniałych sal lśniły się jak rubiny, szmaragdy, szafiry, gdy ogromną salę balową oświetlono sztucznymi ogniami i krociami różnokolorowych lamp, pająków i kandelabrow. Są to prawdziwe pałace zaczarowane, urzeczywistnione powieści o wrózkach i czarownicach.

— A to dla czegoż nie zostałeś w tamtej kopalni?

— Chciałem znowu ujrzeć swój kraj rodzinny. Zresztą powietrze, którym się tam oddycha, przesycone jest solą i mogłoby spowodować chorobę, która zabiłaby mnie jeszcze prędzej, niż pył i wylizy węglowe.

— Ach! — rzekł ze smutkiem inny robotnik — czy w ten sposób, czy inny, zwolna, czy nagle, kopalnia zawsze musi przyśpieszyć śmierć kopaczowi.

— Tak, to prawie nieuchronne. I to, co powiadasz, przypomniało mi jedno zdarzenie, które wam opowiem.

Pracowałem wówczas w jednej z francuskich kopalń. Pewnego dnia zaczęliśmy łupać jakiś odłam skały, ale zaledwie ruszono go z miejsca, gdy spadł na nas cały pokład piasku, a z nim ciało młodzieńca, w świątecznym górniczym ubraniu. Tak był niezmienny, rysy jego były tak nienaruszone, że zrazu sądzono go uspionym. Na razie byliśmy ogromnie przestraszeni tem dziwnym zjawiskiem, ale wkrótce zrozumieliśmy, że mamy przed sobą ofiarę dawnego zasypu. Po odzieniu, które było na tym młodzieńcu, poznaliśmy, że musiał żyć co najmniej przed pół wiekiem. Wyciągnięto go z kopalni, mieszkańcy okoliczni zebrali się, nikt go jednak nie mógł poznać. Dopiero znalazłszy w jego kieszeni pudełeczko z damskimi klejnotami, starsi ludzie zaczęli przypominać sobie historię młodego górnika, który zginął bez śladu w wigilię imienin swojej matki.

Wtem ujrano przeciskającą się przez tłum staruszkę przeszło dziewięćdziesięcioletnią. Doszedłszy do nas, padła na ciało młodego człowieka i z jękiem zawołała:

— Piotrze, mój dobry Piotrze! to ty zginąłeś tu, myśląc o twej biednej matce! Jakże się cieszę, że cię znów oglądam takim, jakim byłeś za życia na ziemi. Duch twój unosi się w niebieskich wyżynach, czeka na mnie... Boże, przyjmij nas do chwały swojej!

Tu głowa klęczącej staruszki zwiśla nad umarłym, a gdy ją chciano podnieść, spostrzeżono, że już nie żyje.

Obecni w wielkiej ciszy wysłuchali całego opowiadania; po chwili odezwał się jeden z robotników:

— Gdy polegnie jeden, to jeszcze najmniejszy wypadek, ale my ginieemy czasem po stu naraz. Oto co się przytrafiło w podmorskiej kopalni Warkington. Kilku robotników spostrzegło, że po ścianach sączy się woda. Przezorniejsi, a i ja byłem w ich liczbie, postanowili oddalić się, lecz większa część została. Teżże nocy morze załało kopalnię.

Szczegóły tej strasznej klęski były i na zawsze pozostaną niewiadome. Nikt się nie ocalił, takoby mógł to opowiedzieć; wszystkich pochłonął ocean, a nad milczącą paszczą studni odmówiono już tylko modlitwy za zmarłych.

Opowieści te, straszne, jak miejsca, w których je opowiadano, przerwane zostały hasłem powrotu do pracy.

Anna z umysłem, przepelnionym tem, co słyszała, była przejęta podwójną trwogą, ale jakkolwiek niespokojna i drżąca, pracowała usilnie, bez przestanku! Wreszcie nastąpiła pora ukończenia dziennej roboty, i wyszedłszy z kopalni, znowu ujrzała światło dzienne.

O, jakże jej wszystko zdało się pięknem!

Powietrze, światło, ptaki, drzewa, kwiaty, wszystko zdawało jej się godnym zachwyty i podziwienia.

Przybiegłszy do domu, szybko umyła twarz, ręce i rzuciła się w objęcia ojca i siostry, wołając:

— Otóż jestem z powrotem! Znowu was widzę i mogę uściskać!

Przepędziwszy dzień, tak ciężki, wśród ludzi, których obejście, zwyczaj i mowa były jej obce zupełnie, o ileż własna rodzina stała się jej miłszą i droższą. Zdawało jej się, że nie może się nią dość nacieszyć, napatrzeć i narozmawiać.

Anna ocknęła się, wzruszona serdecznością Franciszka.

Kiedy przed udaniem się do kopalni zobaczyła się z panią Łucyą, zapytała o robotnika Franciszka.

— Nie uwierzysz, pani, — mówiła — jak dobrym jest dla mnie. Kiedym w pierwszych chwilach ulegała trudnemu do pokonania przestrachowi, zawsze znajdowałam go tuż przy sobie, z pociechą i pokrzepieniem. Czy dawno już znasz go pani?

— Nie, moje dziecko — odrzekła Łucya — przybył tu niedawno, a my nie mamy zwyczaju wypytywać się nowych towarzyszy pracy, z kąd przychodzą. Zdaje mi się być roztroptym i pocziwym, to też go szanują, choć niektórzy go nie lubią, bo jest w nim coś takiego, co odstręcza od większej poufalości. Ja tam na to nie zważam!... Jestem przekonana, że jest dobrym robotnikiem i pocziwym człowiekiem i dość mi na tem.

ROZDZIAŁ III

Drugiego dnia przy zejściu do kopalni Anna znowu przechodziła wszystkie te wrażenia, jakich doznawała po raz pierwszy. Nie były one jednak tak silne, jak poprzednio, i w końcu oswoiła się zupełnie z niebezpieczeństwami pracy w kopalni.

Gdy po upływie dwóch tygodni otrzymała zapłatę, wyrównyującą naszym sześciu rublom, wyszedłszy z kopalni i czując w dłoni pieniądze, aż podskoczyła z radości.

Ojciec zyskał pomoc, brak wygód nie będzie mu już tak dokuczał, jak poprzednio... O, jakże pocziwa ta córka była szczęśliwą!

Praca jednak wśród pyłu węglanego bardzo niekorzystnie wpłynęła na cerę Anny była jakby zabrudzona, miałkie, zaledwie dostrzegalne cząsteczki węgla wgryzły się w jej twarz, ozdobioną zarumienionymi policzkami.

Pierwsza to zauważyła jej starsza siostra Marya, a przekonawszy się, że te ciemne plamki z wielkim trudem zaledwie odmyć można było, rzekła do niej:

— Ach, Anusiu, czyż ty w kopalni węgla pracujesz? całą twarz masz pokrytą sadzami!

Anna przestraszona zarumieniła się i spojrzała na ojca: na szczęście drzemał, więc nie słyszał zapytania Maryi.

Później, dawszy znak siostrze, wyszła z nią do kuchenki.

— Moja droga Maryo — rzekła do niej — tylko nie gniewaj się na mnie, a wydam ci wielką tajemnicę. Rzeczywiście, pracuję w kopalni węgla, i to już od dwóch tygodni...

— Ty? W tych strasznych przepaściach? — zawołała Marya z wielkim przestachem, i przerażona załamała rękę.

— Tak, moja droga! — odrzekła Anna z uśmiechem. — Nie trwoż się! Z początku i mnie się zdawało, że to coś okropnie strasznego, ale przemożłam się i przyzwyczaiłam.

Za te dwa tygodnie pracy zapłacono mi ładną sumkę, dla zarobku zatem, mającego dopomagać naszemu ojcu, warto się troszkę poświęcić...

— Tak, to prawda, i ja chciałabym cię naśladować. Gdybyś więc i dla mnie wyjednała także jakąkolwiek pracę w kopalni...

— Niepodobna, moja droga; bo któż pozostanie przy ojcu?

— To prawda. Ale gdyby się ojciec dowiedział, że ty...

— To też zachowajmy to przed nim w największej tajemnicy.

— Niepodobna, moja pocziwa Anusiu, twoja cera okopcona wyda cię!

— Prawda, ale trzeba na to poradzić. Powiem dobrej pani Łucyi, a ona z pewnością znajdzie jaki zbawczy środek.

Siostry rozeszły się, a gdy Anna nazajutrz kłopot swój opowiedziała Łucyi, ta zamyśliła się głęboko, a po chwili odrzekła:

— Obawa twoja jest słuszną, gdyż po kilku miesiącach staniesz się z cery podobną do Cyganki. Jedyne rozwiązanie na to — kaptur stanowiący zasłonę na całą głowę, ale gdy górnicy ujrzą cię w nim, zaczną zaraz wyśmiewać się z ciebie.

— Uproszę ich, ubłagam...

— Braknie ci słów na usprawiedliwienie się, moje dziecko!... Ale poczekaj, rozmówię się z Franciszkiem... To człowiek bardzo roztropny, on wszystkiemu potrafi zaradzić.

Gdy na drugi dzień Anna pokazała się w kopalni okryta kapturem, zwróciła na siebie uwagę wszystkich górników.

Dzieci pokazywały ją sobie palcami, chichotały, starsi pomrukiwali z niezadowoleniem, powiadając, że nie należy pozwolić na wprowadzenie podobnej nowości; kto zaś lęka się, aby nie poczeriał na twarzy, niech porzuci pracę, a nie odróżnia się niczem od innych.

Przemawiała tak przez ich usta nie złość, ale ciemnota umysłowa, która nie może ścierpieć najmniejszej zmiany w dawnych obyczajach, do których nawykła.

Anna tych szyderstw, chichotków i pogroźek słuchała w milczeniu i krzątała się z większą jeszcze, niż kiedykolwiek pilnością.

Łzy wprawdzie cisnęły się jej do oczu, lecz je siłą stłumiła.

Gdy nadeszła godzina południowa, Anna usiadła na boku, w pobliżu zaś od niej spoczywała gromadka robotników, a pomiędzy nimi Franciszek.

— To rzecz niesłychana! — mówił jeden z nich. — Tyle naszych dzieci przechodziło przez kopalnię, a żadnemu z nich nie przyszło do głowy brać kaptur lub zasłonę. Czy to jaka księżniczka, czy co? A wreszcie, choćby nią i była, to niech się nie wyróżnia i czernieje, tak, jak i my wszyscy. Kiedy my czarni, dlaczego ona jedna ma pozostać białą? Moim zdaniem, albo wszyscy powinniśmy chodzić w kapturach, albo nikt, a że nie każdy posiada odpowiednie fundusze na sprawienie go sobie, więc radzę zedrzeć Annie kaptur z głowy i spalić go...

Anna z krzykiem przeraźliwym zerwała się i pobiegła w głąb kurytarza.

Robotnicy roześmieli się, dzieci rzuciły za nią kawałkami węgla, jeden tylko mąż Łucyi i Franciszek zachowali poważne milczenie.

— Źle, bracia, mówicie! — rzekł po chwili Franciszek — Anna godna naszej opieki i szacunku, bo niczem nie zasłużyła na prześladowanie.

— Milcz, młodzieńcze! — zawołało kilka głosów. — Jesteś tu świeżym, jak i ona, przybyszem, więc powinienesz szanować obyczaje, które tu zastałeś. Jakób ma słuszość, trzeba zedrzeć z niej kaptur i spalić go!

— Tak, tak, spalić, spalić! — wrzasnęła gromada.

I wśród hałasu wszyscy zerwali się na równe nogi.

Franciszek z mężem Łucyi chcieli przemawiać w obronie biednej dziewczynki, ale ich zakrzyczano i odrącono na bok.

Nagle Franciszek przypomniał sobie, że górnicy, jako zupełnie nieoświeceni, są niezmiernie zabobonni, postanowił więc rozwinąć działanie w tym kierunku, i wyprzedzając całą gromadę, zawołał:

— Bracia, zatrzymajcie się! Zróbcie, co się wam podoba, ale wysłuchajcie mnie!

— Zgoda!... Mów tylko prędej, bo czasu zbyt wiele nie mamy...

— Wiecie to doskonale — zaczął Franciszek — że wszystkie skarby kopalne są własnością duchów, mieszkających w głębi ziemi.

— Tak, tak! — potwierdzili górnicy — wie o tem najmniejsze nawet dziecko.

— Więc w takim razie i nasza kopalnia jest własnością jednego z podobnych duchów. Ale nie wiem, czy doświadczyliście, że duchy są niezmiernie zazdrosne o swoje skarby, i górnikom, co kopią w nich, starają się psocić, nieraz bardzo dokuczliwie.

— Wiemy i to, wiemy! — przerwali robotnicy.

— Ja wiem, że wiecie, pewnie niejednemu z was się przytrafiło, że mu zgasła lampa, kawał węgla spadł na głowę lub plecy, nogi się zaplątały, i padając, aż do krwi rozbił czoło. Od pewnego jednak czasu wypadki te nie ponawiają się, a nieraz bywają one zapowiedzią zdarzeń daleko groźniejszych, mogących nawet zniszczyć całą kopalnię. A czy wiecie, dlaczego od pewnego czasu wypadki te ustały? Oto dla tego, że duchy straciły na mocy...

— A to być może, bardzo być może.

— A czy wiecie, dlaczego mianowicie osłabły? — zapytał znowu Franciszek. — Oto dlatego, moi bracia, że pomiędzy nami znajduje się anioł kopalni, który pracuje jedynie dlatego, aby nieść pomoc swemu biednemu ojcu. Z ufnością w nasze serca, z nadzieją w opiekę Wszchemocnego Boga stanął pomiędzy nami trwożny, lękliwy, słaby, jak trzcina, wiotki jak kwiatek. Nie upadł jednak, Bóg go wsparł, dobrzy ludzie dopomogli. Jeżeli chcecie, pokażę go wam, ale przestrzegam, że nie jest to anioł ze skrzydłami, w obłocznej, powiewnej szacie, tylko zwyczajna dziewczeczka, dobra córka, godna opieki waszej, ojcowie, a waszej miłości, córki, które tu podzielacie pracę swoich ojców! Chodźcie, pokażę ją wam! Wy, bracia, choć w pracy wychowani, macie zacne serca, szanujecie i kochacie to, co godnem jest uznania.

— Tak, tak, pokaż nam tego anioła kopalni! — zawołano gwarnie.

Dzieci wsunęły się pomiędzy starszych, chcąc jak najprędzej zobaczyć niewidziane przez siebie zjawisko.

Franciszek ruszył naprzód, i uszedłszy kilkanaście zaledwie kroków, zatrzymał się.

W głębi, we framudze, wykutej w ścianie i oświetlonej kilku płomieniami kłęczała Anna, bez kaptura, i z przejęciem modliła się.

Ręce miała złożone, oczy wzniesione w górę, a światło, spływając po niej, otaczało ją jakby aureolą, wpośród której przedstawiają świętych i błogosławionych. Twarz błada, świecąca białością, podnosiła urok całej postaci.

Franciszek wyciągnął rękę i wskazując na Annę rzekł:

— Oto anioł kopalni, którego miałem wam pokazać!

— Ależ to Anna, nasza towarzyszka! — zawołano.

— Tak jest, Anna, dobra i poświęcająca się córka, a taka czyż nie godna nazwy anioła?

— Ale to dla was zapewne nie wystarcza, — ciągnął dalej. — Wy żądalibyście anioła fruującego w powietrzu, zapominając, że są i na ziemi anioły, świecące cnotami, jak

gwiazdy wśród ciemnej nocy. Takim aniołem jest Anna. Pomyślcie tylko z uwagą, a sami przyznacie, że mam słusność.

Gromada górników w milczeniu patrzyła na modlącą się dziewczeczkę. Jaki taki westchnął, zdjął czapkę i począł mówić pacierz, z czego korzystając Franciszek, rzekł cichym głosem:

— Nie przeszkadzajmy jej, anioł to prawdziwy, choć w ludzkiej postaci. Ona modli się o opiekę i pomoc Bożą dla siebie i dla nas.

— Więc to ona poświęciła się tak ciężkiej i mozolnej pracy, w zamiarze przyniesienia pomocy choremu ojcu? — zapytano.

— Tak, ona dla ojca. Znam go, i wiem, że leży bezwładny na łożu boleści. To nieszczęście może spotkać każdego z nas... Jakiegoż więc uwielbienia godna ta biedna, bezsilna dziewczynka. Gdyby córka którego z was, moi bracia, spełniła coś podobnego, czybyście nie byli dumnymi z posiadania takiego dziecka?.. Czybyście nie nazywali jej swoim aniołem opiekuńczym? Tak, bracia, jest nim i zarazem aniołem naszej kopalni, gdyż Bóg, przez opiekę i wzgląd na nią, strzedz będzie nas wszystkich i bronić od nieszczęścia.

— Tak, to prawda — potwierdził jeden z górników — dłaczegóż jednak pragnie wyróżnić się z pośród nas białością lica? Anioł nie potrzebuje tej ziemskiej ozdoby; cnota jego, którą przyświeca innym, jest sama przez się najpiękniejszą z szat.

— Macie słusność — odrzekł Franciszek — cnota jest tak przepyszną szatą, że jej nic zastąpić nie zdoła. Anna wie to dobrze, ale gdyby przez zmianę cery nabrała śladów pracy w kopalni, ojciec poznałby jej zajęcie, zmartwiłby się tem niewymownie, co dla schorzałego mogłoby być zabójczem, ona zaś zostałaby sierotą. Tajemnicę Anny już odgadła starsza siostra, i o mało co, że jej nie wydała przed ojcem. Uniesiona szlachetnym przykładem poświęcenia młodszej siostry, chciała również zapisać się do robotnic naszego podziemia, ale Anna przekonała ją, że musi pilnować chorego, została więc w domu, i jest jego aniołem opiekuńczym. Przyznacie, że takie dzieci godne są naszej opieki... Gdy Anna zarabia w kopalni, Marya zarobkuje praniem i naprawą zniszczonej bielizny. Praca ta mało jej przynosi dochodu, zawsze jednak coś znaczy, bo przynajmniej tyle, że w połączeniu z zarobkiem Anny broni je obie i chorego ojca od ostatecznej nędzy.

Robotnicy w milczeniu popatrzyli jeszcze raz na Annę i powoli wrócili na swoje miejsce.

Dziewczynka odetchnęła. Co mówiono, tego dosłyszeć nie mogła, była tylko pewną, że wrzawa zbliżających się górników zapowiadała spełnienie groźby, z jaką się przeciw niej odzywali, to jest, że kaptur zostanie z niej zdarty, spalony, a ona sama obsypana szyderstwami i zapewne wypędzona z kopalni. Uciekła się więc do ostatniego ratunku, do modlitwy, i nie zawiodła się w swej nadziei.

Kiedy wrzawa uciszyła się, trwoga znikła, wdzięczność napełniła całą jej duszę, w serce wstąpiła otucha, i biedna dziewczeczka, wzruszona do głębi, rzewnymi zalała się łzami.

Wtem odezwał się głos dzwonu, wzywający do pracy.

Anna pobieгла z pośpiechem, ale lękając się wywołania nowej burzy, kaptur schowała i stanęła pomiędzy robotnikami bez żadnej osłony na głowie.

— Anno, włóż kaptur! — szepnął Franciszek — nie lękaj się niczego, burza przemienęła, i wszystko obróciło się na twoją korzyść!

— Czyż to podobna? — zapytała z najżywszą radością.

— Robotnicy poczciwi ludzie, i chociaż prostacy, zrozumieli twoje poświęcenie. Możesz więc bez żadnej obawy bronić swej twarzy od poczernienia.

— Jakże ci wdzięczną jestem, panie Franciszku, za ten nowy dowód twojej nade mną opieki! Dziękuję ci, całym sercem dziękuję!

ROZDZIAŁ IV

Przez cały dzień górnicy obchodzili się z Anną ze szczególną delikatnością, jakby pragnęli wynagrodzić jej brutalne obejście się rano. Usuwali przed nią przeszkody, pilnowali, aby jej nie popychano, nie potrącano, starali się jak najmniejszym obarczać ją ciężarem, nawet wyręczali czasami w pracy, słowem, każdy starał się ulżyć jej i otaczać opieką, jakby z obowiązku.

Anna dziękowała wszystkim z największą delikatnością, i tylko przemyśliwała nad tem, jakby się wywdzięczyć towarzyszom swoim za ich dowody takiej życzliwości i dobroci.

Kiedy wieczorem po ukończeniu pracy zobaczyła się z Łucyą, opowiedziała jej wszystkie zdarzenia dnia przebitego, i prosiła zarazem, aby podała jej sposób okazania górnikom wdzięczności, jaką czują dla nich.

— To trudno, moje dziecko! — odrzekła Łucya. — Gdybyś była bogaczką, mogłabyś wyprawić im ucztę z muzyką, ale że jesteś tylko ubogą dziewczyną, to naturalnie, takiego wydatku ponieść nie możesz. Bądź więc tylko dobrą dla nich, pokorną, nie przechwalać się niczem, za każdą usługę dziękuj grzecznie, a z dziećmi pracującymi obchodź się tak, jak gdyby były one twemi rodzonymi siostrami i braćmi.

— Dobrze, pani. Podaruję dzieciom kilka książek, to je ucieszy.

Łucya potrząsnęła głową.

— To na nic się nie zdało, bo tak górnicy, jak i ich dzieci, wcale nie umieją czytać?

— A więc i pani syn także nie umie czytać?

— A kiedyż miał się nauczyć? Przebywając w kopalni po dwanaście godzin dziennie, po powrocie do domu tak się czuje zmęczonym, że zaraz idzie na spoczynek. Nie ma już siły do innej pracy, nawet umysłowej. Spoczywa więc, potem idzie spać i rankiem znowu biegnie do kopalni. Oj, smutna jest dola górników! Cóż jednak mamy robić? Nie każdemu na świecie przeznaczono być bogaczem. W kopalni dzieci przez kilka godzin wolne są od pracy; przez ten czas wypoczynku figlują tylko, mocują się z sobą i nieraz jaki taki wraca do domu z potężnym guzem na czole. Czas ten wprawdzie możnaby obrócić na naukę, ale gdzież można znaleźć nauczyciela, któryby chciał w kopalni uczyć dzieci górników.

— To ja spróbuję tego i postaram się nauczyć czegokolwiek te dzieci.

— Niech ci Pan Bóg pobłogosławi, moje dziecko, ale to na nic się nie zdało! Do nauki nie każdy ma ochotę, a tembardziej dzieci pracujące i rozbałamucone wspólną zabawą podczas spoczynku. Gdybyś zaczęła opowiadać jakieś zabawne historyjki, tobyś napewno nie mogła opędzić się ich ciekawości, ale nauka czytania, to praca, a tej dla nikogo nie brakuje w kopalni, każdy jest nią prawie zupełnie z sił wyczerpany.

Mimo tego rozumowania z pozorami zupełnej słuszności, Anna postanowiła zrobić próbę.

Na drugi dzień w chwili spoczynku zasiadła razem z gromadką dzieci, i wyjmując książkę, którą przyniosła z sobą, rzekła:

— Chodźcie, dzieci, do mnie, pokażę wam bardzo ładne obrazki!

Dziewczyna otoczyła ją wokoło, spojrziała na ryciny i ciekawie zapytała:

— Cóż one znaczą? Powiedźcie nam, Anno?

Były to krótkie opowiadania z Pisma Świętego, opisujące stworzenie świata. Przy każdym z nich dołączona była rycina, która, objaśniona, przechodziła potem z ręki do ręki, z wielkim oglądaniem zajęciem.

Na tej pogadance tak Annie jak i dzieciom godziny odpoczynku zbiegły, szybko, i gdy odezwał się dzwon, wszyscy ze smutkiem spojrzeli po sobie, żałując, że przyjemność, jakiej doświadczyli, tak prędko minęła.

Na drugi dzień dzieci same upomniały się o czytanie tych pięknych historyjek, a nawet przyłączyło się do nich kilku starszych. Z każdym dniem zwiększające się to grono połączyło wreszcie znaczną część robotników w jedną gromadkę pilnych słuchaczy.

Anna nie posiadała się z radości. Czasem opowiadała im, to, co sama zapamiętała z przeczytanych książek, objaśniała zadawane pytania, prostowała błędne pojęcia, dość, że wprędce uznano ją za tak rozumną, jak drugiej chyba nie było na świecie.

— Mylicie się, moi panowie — odpowiadała, gdy ją zarzucano podziękowaniami i pochwałami. — Umieć bardzo niewiele, zaledwie tyle, ile mogłam się nauczyć z czytania dobrych książek. Kto tylko umie czytać, z łatwością przewyższy mnie swemi wiadomościami, a nauczyć się czytać nie jest tak trudno, jak się to zdaje.

— Więc ucz nasze dziatki! — zawołano zewsząd.

Porzucono opowiadania, i Anna rozpoczęła naukę czytania zbiorowo.

Gromadka dzieci zwykle zasiadła koło niej, po za dziećmi stawali starsi, a Anna zwracała uwagę na kształt pojedynczych liter, wymieniała ich nazwy, łączyła z drugimi, i tym

sposobem składała wyrazy. Litery zrobiła sama wielkie i wyraźne, ponaklejała je później na tekturkę i powycinała, a podczas lekcji wydobywała je kolejno. Dla urozmaicenia nauki wracała często dziewczeczka do dawnych opowiadań z dziedziny nauk przyrodzonych, pokazywała rysunki różnych zwierząt nieznanych, ludów dzikich, opisywała ich obyczaje. Opowiadała o odkryciu Ameryki, podróżach do bieguna północnego, o rozmaitych zdarzeniach historycznych, a potem wracała do przerwanej nauki. Górnicy nie mogli się dość nachwalić poświęcenia poczciwej dziewczeczki, na każdym kroku otaczali ją życzliwością i poszanowaniem, i jednomyślnie przyznali, że Franciszek miał zupełną słuszność, nazywając ją aniołem kopalni. Powiadali bowiem, że od czasu przybycia jej do kopalni, panowała najzupełniejsza zgoda, dziatki stały się lepsze i posłuszniejsze, i tak pokochały Annę, że ją powszechnie nazywały swoją kochaną panienką, a nawet aniołem, pełnym dobroci i łagodności.

Annę, naturalnie, wszystko to niezmiernie cieszyło.

Twarz jej zawsze była roz pogodzoną, na ustach igrał wesoły uśmiech, a oczy błyszczały, jakby świętością, bo zadowoleniem sumienia, że robi wszystko, co może, aby być użyteczną.

Niedość na tem: Maryi nagle z każdym dniem przybywało roboty z praniem i naprawą bielizny, że aż musiała przybrać pomocnicę, aby zadosyć uczynić żądaniom. Dochód też w domu zwiększał się, ojcu nie zbywało na żadnych wygodach, a patrząc na dzieci swe wesołe i szczęśliwe, sam coraz większych nabierał sił, i mógł już dźwigać się z łóżka i siadać w wielkim krześle z poręczami.

ROZDZIAŁ V

Na takiej pracy i zabiegach czas schodził bardzo szybko.

Anna ciągle uczyła dzieci, do uczącej się gromadki przyłączyli się i starsi robotnicy; często nawet przychodził i Franciszek, i nieraz przyniósł jaką nową książkę, ofiarowując ją młodziutkiej nauczycielce.

Szczególny bo to był robotnik z tego młodzieńca: mając nie więcej nad dwadzieścia lat, przybył do kopalni, polecony przez jej właściciela, i choć wyglądał bardzo po pańsku, jednak zajmował się pracą, jak i wszyscy, i niczem nie wyróżniał się z pośród towarzyszy. Równie ciężko pracował, jak i oni. Stołował się u Łucyi, tylko dni świątecznych nie przepędzał na hulatyce, jak to czynili niektórzy z jego kolegów.

Zwykle przepędzał je w swoim mieszkaniu, złożonym z jednego malutkiego pokoiku.

Widziano go wtenczas zajętego czytaniem, pisaniem, kreśleniem jakichś niezrozumiałych dla nikogo figur, i robieniem jakichś niezmiernie zawyłych rachunków.

Nieraz tak pogrązał się w tej pracy, że choć przechodzący zatrzymywali się przed jego oknem, przypatrując się z ciekawością jego zatrudnieniu, on nie zwracał na to najmniejszej uwagi, tylko czytał, zapisywał, sprawdzał i przypatrywał się bacznie figurom, nakreślonym przez siebie.

Dziwiło to wszystkich, szczególnie starszych górników, którzy, jak powiadali, zjedli zęby przy pracy w kopalniach, a nigdy nie widzieli prostego, jak on robotnika, zajmującego się podobnymi czynnościami.

Niektórzy z nich, zapytywani o objaśnienia, zwykle ze znaczeniem potrząsali głową, a nie umiając dać zadawalniającej odpowiedzi, machali ręką, odpowiadając krótko:

— A kto go tam wie, co on robi! Może to jaki czarownik, bo i ci zdarzają się pomiędzy górnikami.

Franciszek, dowiedziawszy się od Łucyi o tych przypuszczeniach, co do jego osoby, uśmiechnął się smutnie i odrzekł z zupełnym spokojem:

— W tem przypuszczeniu moich towarzyszy jest w rzeczy samej troszkę prawdy, ale nie w tem znaczeniu, jak oni to pojmują. Rzeczywiście, chciałbym być czarodziejem, nie szkodę, tylko dobrodziejstwem wszystkim przynoszącym. Chciałbym, aby im się lepiej działo, by mniej pracowali, a więcej mogli oszczędzać, aby kobiety i dzieci nie zabijały się wyczerpywaniem sił swoich, aby zbywający od pracy czas przepędzali pożytecznie, niż dotychczas, i wreszcie, aby młodsze pokolenie, ucząc się, wyrastało na górników, wiedzących, że mają w sobie duszę nieśmiertelną.

Gdy odpowiedź ta rozeszła się pomiędzy robotnikami, znowu wszyscy pokiwali głowami, zowiąc Franciszka nowatorem, reformatorem, apostołem bez namaszczenia, któremu gwałtem wydaje się, że jest mądrzejszym od innych.

Z tego też powodu powstała ku młodzieńcowi pewna niechęć, która jeszcze bardziej się wzmogła, gdy go usłyszano, jak powstawał na sposób życia górników.

Zwykle górnicy, po całotygodniowej ciężkiej pracy, marnotrawili znaczną nieraz część zarobionych pieniędzy na niedzielne hulanki, odbierające im przytem zdrowie, siły i chęć do pracy.

Franciszek przeciwdziałał temu zgubnemu nawyknienu, i to karcenie dawno wprowadzonego zwyczaju ogromnie nie podobało się górnikom. Omijano go, stroniono od niego, i każdą uwagę jego przyjmowano z szyderstwami, powiadając, iż zbyt słabą ma głowę i rozum zbyt niedojrzały, aby mógł współtowarzyszy uczyć rozumu.

W tem niechętnem przyjmowaniu jego rad było cokolwiek winy i po jego stronie.

Jako młody, nie miał odpowiedniej rozważliwości, i nie domyślił się, że niedość jest radzić rozumnie, ale że przytem trzeba występować z największą skromnością aby nikogo ku sobie nie zrazić, a jednak przyciągnąć na swoją stronę i zyskać uznanie.

Tej to rozważliwości mu brakowało, skutkiem czego niechęć ku niemu ustawicznie wzrastała, i nakoniec przemieniła się w nienawiść i pogardę, z którą nikt się nie taił nawet.

Jedną tylko Łucyą i Anną były innem ożywione uczuciem dla młodzieńca.

Rozmawiając z nim często, znały go lepiej, aniżeli drudzy; broniły go też wszędzie, objaśniały, tłumaczyły, wszystko to jednak nie wiele znaczyło.

ROZDZIAŁ VI

Raz zwiadał kopalnię jakiś bogaty cudzoziemiec, i po odjeździe swoim pozostawił hojny datek na poczęstunek dla górników.

Wieczorem, gdy rozmawiano o jego szczodrobliwości, grzecznem obejściu się i znajomości prowadzenia robót górniczych, robiono domysły, że człowiek tak bogaty i takiej wspaniałej postawy musi być znakomitym i powszechnie znanym.

— Czy widzieliście — mówił jeden z górników — jaki piękny kieszonkowy zegarek miał przy sobie? Gdy go wydobywał z kieszonki, przyjrzałem mu się, i, powiadam wam, że podobnie pięknego nie widziałem nigdy. Sam łańcuszek przy nim wart był conajmniej z pięćdziesiąt dukatów.

— Pięćdziesiąt dukatów! — zawołano z podziwem. — To dopiero musi być bogacz, kiedy takie drogie cacka nosi przy sobie!

Na drugi dzień, podczas śniadania, Anna jak zwykle siedziała pośrodku gromadki dzieci; wtem naraz powstał ogromny hałas, odezwały się krzyki, jakby cała kopalnia waliła się i zapadała. Przestraszona niezmiernie, pobiegła w stronę, skąd dochodziły te wrzaski, ale scena, jaką tu zobaczyła, wstrząsnęła nią do głębi.

Franciszek leżał powalony na ziemi, a wokoło niego kłębił się tłum górników, wrzeszcząc i wygrażając leżącemu.

— Co to jest? co się tu stało? — zawołała z największym przerażeniem.

— Mała awanturka! — odrzekł spokojnie jeden z obecnych górników. — Wykryliśmy złodzieja i ukarzymy go stosownie do obyczaju górniczego.

— Złodzieja? i któż nim jest?

— A pan Franciszek, nowo upieczony apostoł, co wszystko w kopalni chce przewrócić do góry nogami!

— Franciszek?.. to nie podobna! Cóż to on zrobił takiego?

— Ni mniej, ni więcej, tylko poprostu temu oto panu, który zwiadał kopalnię, ukradł zegarek.

— On? ukradł? Ależ to jest potwarz najszkaradniejsza!

— Nie broń go, Anno! — odezwał się poważnie drugi górnik — bo dowód mamy w ręku. Patrz, oto zegarek, który dziś spostrzeegliśmy przy nim. Rozsądź sama, czy prosty robotnik, jak on, może podobnie kosztowną rzecz posiadać?

Zegarek, okazywany przez górniką, był rzeczywiście niepospolitej wartości. Anna osłupiała, nie wiedząc sama, co o tem myśleć. Była głęboko przekonaną, iż Franciszek

nie mógł się dopuścić tak szkaradnego postępku, ale jakimże sposobem przekonać o jego niewinności górników, tak uprzedzonych ku niemu?

— To potwarz! to potwarz! — wołała, załamując ręce. — Przysięgłabym, iż Franciszek jest niewinnym.

— Tobys popełniła grzech, bo on sam przyznał się do winy.

— Przyznał się! Ach, to niepodobna!... Pozwólcie mi samej pomówić z nim trochę!

— Później to zrobisz, bo najprzód musi odebrać karę, a później zostanie wypędzonym z kopalni.

Anna, nie słuchając, przedarła się przez tłum otaczający leżącego na ziemi Franciszka, i klękając przy nim, zapytała głosem przerywanym:

— Franciszku, powiedz mi, czy to prawda, o co cię oskarżają?

Franciszek nie odpowiedział ani słowa, leżał bezwładny, zupełnie, jakby bez życia.

— Czy słyszysz mnie, Franciszku! — zawołała Anna, biorąc go za rękę, i w tej chwili krzyknęła:

— Ach, mój Boże! on nie żyje! ręka zimna, jak lód! Zdejmijcie z niego postronki i przynieście wody. Na miłość Boską, wody, a może go przywrócimy jeszcze do życia! Czyż chcecie brać na swoje sumienie zabójstwo człowieka bezbronny i niewinny?

Poszanowanie dla Anny było tak wielkie, iż pomimo niechęci ku Franciszkowi, rozkaz ten biednej, słabej dziewczyny wykonany został bezzwłocznie. Trzeźwiony wodą przez Annę, młodzieniec otworzył oczy i zwracając się ku niej, szepnął:

— To ty, nasz aniołku kochany, jesteś przy mnie! O, jakże ci jestem wdzięczny za tę troskliwość!

— Franciszku! — przerwała Anna — czy już całkowicie odzyskałeś przytomność, czy możesz odpowiadać?

— Przyszedłem do siebie zupełnie, ale wołałbym śmierć, niż to nieszczęście, które mnie spotkało...

— Jakto! czyżby więc prawdą było... nie... to kłamstwo... to najbezcelniejsze kłamstwo...

— Tak... kłamstwo najohydniejsze...

— Zegarek zatem...

— Jest moją własnością. Oddawna już go posiadam, ale dopiero dzisiaj po raz pierwszy wyciągnąłem go ze schowania i wziętem z sobą do kopalni.

— To nie może być prawdą!... — zaprzeczyło kilka głosów. — Prości robotnicy tak kosztownych zegarków nie mają, a zresztą jest to ten sam zegarek, który widzieliśmy u wczorajszego gościa, co to zwiedzał kopalnię.

— Jakież dowód na to, że ten zegarek był jego własnością? — śmiało zapytała Anna.

— Usui się, Anno! — zawołali groźnie górnicy. — Winny musi koniecznie być ukarany, jak na to zasługuje.

Franciszek chciał coś przemówić, ale omdlał powtórnie, i gdy górnicy poczęli się narażać, jaką karę mają wymierzyć obwinionemu, Anna zajęła się trzeźwieniem omdlałego, a później, powstawszy, rzekła z niezwykłą mocą:

— Moi bracia kochani! Jestem biedną, słabą dziewczyną, wy jednak obdarzacie mnie taką przyjaźnią, iż za dowody waszej dla mnie dobroci nie mogę się dość Bogu nadziękować. Posłuchajcie mnie! O niewinności Franciszka jestem najzupełniej przekonana; wasze zdanie jest przeciwne, jednak je szanuję, jako pochodzące od ludzi starszych, doświadczeńszych i rozumniejszych ode mnie, ale nie zaprzeczycie, że jeżeli mogę się ja mylić, to i wy także. Zatem, zanim wydacie rozporządzenie o losie obwinionego, zbierzcie wprzód niezbite dowody jego występku, a potem dopiero ukarście. Gdyby którego z was ogłoszono złodziejem i ukarano, a później przekonano by się o jego niewinności, jakże okrutnie i niesprawiedliwie z nim sobie postąpilibyście! Pragnę więc niedopuszczyć do takiego okrucieństwa, i proszę was całym sercem, całą duszą, abyście spełnili to, co wam przedstawiam. W dobroci swej nazwaliście mnie aniołem opiekuńczym kopalni, niechże stanę się nim w rzeczywistości, niedopuszczając was do spełnienia czynu nagannego, a wy przyjęciem mojej prośby dajcie dowód, że życzliwość wasza dla mnie nie w samych tylko słowach zamyka się!

— Niechże tak będzie, jak żądasz, — rzekł jeden z górników. — Jesteśmy wprawdzie ludzie prości, ale uczciwi, złodziej nie może być towarzyszem naszej pracy. Sprawę z Franciszkiem zawieszamy, aż do zupełnego jej wyjaśnienia.

W kilka chwil później, wszystko wróciło do należytego porządku.

Franciszek, wypocząwszy po szamotaniu się z górnikiem, przyszedł zupełnie do siebie, a w kilka godzin później, dyrektor kopalni, zawiadomiony o całym zajściu, oświadczył, że ów bogaty, znakomity gość, według mniemania górników okradziony przez Franciszka, jeszcze znajduje się w pobliskim mieście, że zegarek, jaki miał, posiada, i że nie mógł się dość nadziwić łatwowierności górników, którzy posądzili Franciszka o złodziejstwo.

Wiadomość ta ucieszyła wszystkich niezmiernie.

W prawdzie główni oskarżyciele pospuszczali cokolwiek nosy, ale udawali, iż wraz z drugimi niezmiernie się cieszą z ocalenia honoru górników.

Anna aż się rozpląkała z radości, a gdy wiadomość o uniewinnieniu powtórzyła Franciszkowi, ten podziękował jej serdecznie za współczucie i oświadczył stanowczo, że bezzwłocznie opuszcza kopalnię, nie mogąc pozostawać dłużej w towarzystwie ludzi tak ciemnych i okrutnych.

— Nie dziwię się temu! — odrzekła Anna — smutno nam jednak będzie bez ciebie, panie Franciszku...

— Zobaczymy się jeszcze, a nim to nastąpi, bądź zawsze aniołem kopalni, jak nim byłaś dotychczas.

Kiedy przyszło do pożegnania z górnikiem, młodzieniec stanął pośrodku nich, i wyciągając ku nim ręce, rzekł głośno:

— Darujcie mi, bracia, jeżeli któremu z was wyrządziłem mimowolną przykrość. Zawiniłem bowiem w takim razie młodością, brakiem doświadczenia, a nie złem sercem. Jeśli zachowacie w pamięci waszej moje rady, będzie to najlepszą dla mnie nagrodą i dowodem, że żałujecie swej niesprawiedliwości, której o mało nie stałem się ofiarą, bez najmniejszej winy z mojej strony.

— Zostań z nami, panie Franciszku! — odezwano się gromadnie. — Zostań, choć z miesiąc jeszcze, a dasz tem dowód, iż nie masz żadnego żalu, i że nam przebaczyłeś...

— Nie mogę, moi bracia, muszę bezzwłocznie ruszać tam, dokąd niedawno zostałem wezwany.

— Czy nami gardzisz, czy też unosisz się pychą, że więcej masz rozumu od nas wszystkich?

— Nie, moi bracia, ale mam rozkaz i muszę go uszanować.

— A któż to może tak bezwarunkowo rozkazywać wolnemu górnikowi? Jesteś przecie człowiekiem od nikogo niezależnym.

— Ale mam ojca, któremu winienem posłuszeństwo!

— To bardzo słuszne, ale któż jest twoim ojcem?

— Powiedziałbym wam, ale się boję, żebyście mnie znowu nie nazwali kłamcą, lub może inaczej...

— Bądź spokojnym. Wszak dałeś już dowód, że jesteś uczciwym człowiekiem. Mów śmiało, nie obawiaj się tak brzydkiego posądzenia.

— Więc, kiedy się tego domagacie, powiem wam, iż jestem jedynym synem właściciela tej kopalni, w której pracujecie...

— Ach, czy to podobna? — przerwano z największym podziwem. — Syn tak bogatego ojca, a przytem jedynak, miałby się dobrowolnie poświęcać tak ciężkiej pracy, do której my, ludzie prości i zahartowani, zaledwie z wielkim trudem przywyknąć możemy?

— Tak jednak jest, moi bracia! Przybyłem tu, aby praktycznie obznajmić się z waszą pracą, i przedsięwziąć środki ku jej ulżeniu. Chcąc być czemśkolwiek na świecie i coś umieć, trzeba nietylko uczyć się z książek, ale i z własnego doświadczenia. Ja mam być dyrektorem kopalni, postanowiłem zatem poznać pracę każdego człowieka, od robotnika aż do zarządu, od niedostatku i wszelkich kłopotów, gnębiących górnika, aż do sposobu prowadzenia całej kopalni. Tym bowiem tylko sposobem, dotknąwszy się niejako wszystkiego własną dłonią, poznawszy z gruntu wszystkie braki i niedostatki, potrafię im zaradzić skutecznie.

Przybyłem więc do was, jako podobny wam pracownik, abyście, nie krępowani żadnymi względami, łatwiej dali się poznać, i szczerzej i otwarcej wynurzyli się ze swemi

życzeniami. Do działalności na tem polu wzięłem się zbyt porywczo, zapomniawszy, że to, co utrwalił czas, tylko przez czas może być odmienione. Ja zaś byłem pewny, że dość ogłosić prawdę, którą wykryłem, aby została przyjętą i wykonaną. Myliłem się, za co też przeproszam was serdecznie. Każdemu młodzieńcowi zdaje się, że byleby klasnął w ręce, a zrobi wszystko, co tylko zechce. Porywczość moja i wasza poróżniła nas ze sobą, niechże wzajemne chrześcijańskie przebaczenie pojedna nas z powrotem. Dla waszej miłości, dla uczucia ku wam, poświęciłem się, ofiarujcież mi za to waszą przyjaźń, na znak której wyciągam rękę i proszę o uścisk każdego z was z kolei, abym był pewny, że złęgo wspomnienia o sobie pomiędzy wami napewno nie zostawiam.

Każde słowo z serca płynące, zawsze ujmuje za serce, to też górnicy rzucili się na wyścigi do Franciszka, nadzwyczajnie poruszeni, ściskali jego ręce, wynurzali żal, z przyczyny zaszłego nieporozumienia, złorzeczyli potwarcom, którzy wymyślili bajkę o skradzeniu zegarka, aby przez to okryć hańbą i wstydem niewinnego człowieka.

Gdy już miał wsiadać na winę, wszyscy zebrali się tam i przy odjeździe żegnali głośnymi okrzykami. Anna także była obecną przy pożegnaniu górników z Franciszkiem, patrzyła nań ze smutkiem, a młodzieniec spostrzegłszy ją, rzekł:

— Bądź zdrowa, Anno, aniele naszej kopalni! Pracuj dalej, jak dotąd, ufaj i bądź cierpliwą!

ROZDZIAŁ VII

W kilka tygodni później przyjechała delegacya, w celu rewizyi kopalni i wykonania ulepszeń, przedstawionych przez Franciszka.

Przybywała ta delegacya głównie względem zarządzeń, mających na celu polepszenie bytu górników, ulżenie ich pracy, oraz zabezpieczenie kopalni przed wszelkimi katastrofami, jak zalanie wodą, pożar lub zawalenie się galeryi, oraz oddalanie gazów wybuchających i trujących, które prawie w każdej kopalni znajdują się w ogromnej ilości, i często powodują wypadki, kończące się nieraz śmiercią kilku lub kilkunastu robotników, a nieraz zupełnem zniszczeniem dawnej kopalni.

Mimo tego wszystkiego, przybycie komisji obudziło ogólne niezadowolenie i wszyscy szepotali:

— Znowu nowatorstwa i nowe dla nas uciski! Że to też ci panowie książkowi nigdy nie mogą usiedzieć spokojnie na miejscu! Coś się w nich zawsze kręci się i niepokoi. Powiadają: gaz kopalniany udusi was, albo spopieli płomieniem; ściana się jaka przewróci lub opadnie sklepienie — to i cóż z tego? cóż oni na to poradzą, choć tacy mądrzy niby?.. Przecież przypadki takie nie za nas trafiały się, i nigdy ludzi, pracujących pod ziemią, nawiedzać nie przestaną, a umierać dziś, czy jutro lub pojutrze — mała różnica!

W raporcie, złożonym właścicielowi, delegaci oświadczyli, co następuje:

Jeżeli trud pracy górniczej godny jest najwyższego współczucia, to i ciemnota umysłowa, w jakiej górnicy żyją, zasługuje na większą litość jeszcze.

Biedacy ci, zamiast powitać nas jak najlepszych przyjaciół, przyjęli nas niechętnie, nawet nieżyczliwie, choć doskonale wiedzieli, że nam idzie o ich zdrowie, a nawet życie.

A przecież niebezpieczeństw tu nie brak; czyhają one na każdym kroku na życie nieostrożnego człowieka.

Pragnąc należycie poznać kopalnię we wszystkich jej szczegółach, szliśmy często po tak ciasnych korytarzach, iż musieliśmy się czołgać na rękach i kolanach, co chwila lękając się, aby nie uwięznąć w przejściu, bez możliwości wydostania się. W niektórych miejscach piersi nasze dotykały ziemi, pełzaliśmy wolno, jak żółwie, i to tak długo, że czuliśmy, jak w nas siły się wyczerpują, jak tracimy oddech i prawie czujemy się blizkimi omdlenia.

Raz uczuliśmy w powietrzu większą ilość nagromadzonych tu gazów palnych; z trwogą spojrzeliśmy na przewodniczącego nam starego górnika, niosącego lampę bezpieczeństwa. Ten, sądząc zapewne, iż dziwimy się, że światło wychodzi cokolwiek przyćmione, chciał koniecznie odrzucić druciany cylinder, ochraniający płomień lampy od zetknięcia się z powietrzem.

Na szczęście, nie dopuściliśmy do tego, bo w takim razie nastąpiłby wybuch gazu, a w jego skutkach nasza śmierć nieunikniona.

Kiedyśmy wreszcie po zbadaniu gruntownem kopalni, wydostali się na powierzchnię ziemi, odetchnęliśmy swobodniej.

W podobnych warunkach lada dzień należy się spodziewać jakiej wielkiej katastrofy.

ROZDZIAŁ VIII

Zaraz na drugi dzień po odjeździe delegacji, kiedy wszystko w kopalni było jeszcze w pełnym biegu, nagle po wielu galeryach dała się uczuć woń bardzo przyjemna, która wśród górników wywoła ogólny podziw.

— Cóż to jest? — pytano zewsząd. — Czyżby w naszym podziemiu, bez słońca i deszczu, nagle jakimś cudownym sposobem wyrosły kwiaty o tak pięknym zapachu?

— Och, to nie kwiatki, nie kwiatki! — zawołał nagle jeden z najstarszych górników. — Ten miły zapach jest zapowiedzią, że ku nam zbliża się pewien zabójczy gaz, który wciągnięty w płuca ludzkie, w jednej chwili pozbawia życia ofiarę! Uciekajmy bracia, czemprowadź, bo w przeciwnym razie wszyscy, co do jednego wyginie!

Ruszono zatem z pośpiechem ku windzie; zaledwie robotnicy wbiegli w następny korytarz, gdy w głębie jego ujrzeli jakąś ogromną ognistą kulę, pędzącą wprost ku nim. Powstał wielki popłoch pomiędzy gromadką górników, nikt nie wiedział, jak się ratować; nagle owa kula pękła z hukiem, zabłysło wielkie jaskrawe światło, i olśniewający, błyszczący płyn rozlał się jakgdyby w strugę, zalewając wszystko dokoła.

W powietrzu zasyczało, zaszumiało, buchnęły kłęby czarnego gryzącego dymu, pokazały się płomienie, które migotając, jak błędne ogniki, ogarniały i trawiły wszystko, do czegokolwiek się dotknęły. Winda bez chwili przestanku pracowała, wyciągając na powierzchnię uciekających ze środka kopalni robotników.

Wreszcie za buchającym otworem kopalni dymem pokazał się płomień, jakby z krateru wulkanicznego, zadrzała ziemia, i olbrzymi czarny i gęsty obłok pyłu wzbił się w powietrze, sprawiając ciemność, jak gdyby nagle nastąpiła głęboka noc.

Skoro wieść o tym strasznym wypadku rozeszła się po osadzie, krewni i rodziny górników przybiegli natychmiast do szybu (czyli studni kopalnianej). Zastali już tam około trzydziestu osób, które zdążyły się uratować, lecz pomiędzy nimi dwoje małych dzieci już nieżywych.

Pomimo trudności, działanie windy nie ustawało, i podczas gdy jedni ratowali omdlałych, inni oddawali się największej rozpacz, nie mogąc znaleźć pomiędzy wyratowanymi ojców, mężów lub braci.

Podczas tego ogólnego przerażenia, w rodzinie Anny nic nie wiadano zupełnie o wypadku, jaki się zdarzył w kopalni.

Marya zajęta była naprawą bielizny, ojciec siedział w wielkim fotelu i czytał jakąś książkę, gdy wpadł nagle mały chłopczyzna od sąsiadów wrzeszcząc wniebogłosy:

— W kopalni pali się, i wszyscy się popalili... i Anna, i Zuzia, i Janek, i Tomek, wszyscy się spalili!... Teraz już tylko trupów wyciągają windą z dołu kopalni.

— Kto spalił się? Anna? — zawołał chory Iward, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w twarz chłopczyzny.

— Tak, panie Iward! — odrzekł zadyszany chłopak — wszyscy biegną do kopalni z wielkim krzykiem.

— Maryo, podaj mi rękę! — zawołał chory, usiłując podnieść się z krzesła. — W kopalni pożar, spaliła się Anna... Czyż to podobna?... cóż-by ona tam miała robić?... Maryo! podaj mi rękę, trzeba tam biedz, trzeba śpieszyć się... dawaj ubranie, kapelus, laskę, chodźmy, chodźmy...

Marya, niemniej przerażona od ojca, sama nie wiedziała, co robić, co mówić, aby nieco uspokoić ojca, począła łałamując ręce, biegać po pokoju i krzyzcć:

— Anna, moja biedna, ukochana siostra, zginęła! i taką okropną śmiercią, o, Boże! Boże!

Ojciec dźwignął się wreszcie z wysiłkiem, i podpierając się laską, wyszedł pośpiesznie z mieszkania.

Marya, zarzuciwszy na siebie chustkę, pobiegła za nim. Ze wszystkich stron widziało ludzi, śpieszących ku kopalni; w powietrzu rozlegała się wrzawa strasznej rozpacz; biegnące kobiety krzychały, załamując ręce, dzieci płakały, dym kłębił się.

Kiedy Marya z ojcem doszli nareszcie do kopalni, ujrzeni przy wejściu do niej tłum ludzi, złożony z mężczyzn i kobiet, lecz Anny pomiędzy nimi nie było.

— Anna, gdzie jest moja Anna? — wołał ojciec, jak obłąkany. — Spuście mnie w podziemie, a już ja ją odszukam i ocalę...

— Bądź cierpliwy, panie Iward! — odpowiedziano mu. — Czterech młodych górników przed chwilą udało się, aby ją odszukać, zaczekajmy chwilę. Nie traćmy nadziei!

Ojciec zbliżył się do otworu studni, wpatrzył się uważnie w jego głębię, śledząc uważnie najmniejsze poruszenie windy. Wreszcie, po dość długiej chwili oczekiwania, spostrzeżono, iż liny zadrgały; rozległo się skrzywienie wprawionej w ruch korby, tłum poruszył się, i po chwili w otworze szybu pojawiła się winda, wraz z uczepionymi przy niej czterema śmiałymi górnikiemami. Pomędzy nimi Anny nie było...

— Obiegliliśmy i obejrżeli wszystkie bliższe korytarze i komory, — rzekli, otrzepując ubrania z pyłu i kopcju — mimo to nie dostrzegliśmy Anny; musiała zatem pozostać w dalszych oddziałach, a tam dojść niepodobna, bo dostęp zamknęły gazy...

Okrzyk głębokiego żalu wyrwał się ze wszystkich piersi, jednak najwięcej narzekały dzieci, nie mogąc nawet pojąć, jak mogłaby zginąć tak nagle i tak okrutną męczeńską śmiercią ich Anna, taka dobra, i tak przez nie gorąco ukochana.

Stary Iward stał niemy z boleści, podtrzymywany przez dwóch silnych górników, gdyż w uniesieniu rozpacz chciał skoczyć w otwierającą się przed nim przepaść, myśląc, że takim sposobem przyniesie ratunek swej ukochanej córce.

— Puście mnie, puście! — wołał co chwila, szamocząc się ze swymi stróżami. — Ona tam, biedaczka, wzywa pomocy... puście mnie, puście!...

Nikt mu nie odpowiedział na to, szanowano boleść ojcowską, i ze współczuciem spoglądano na starca. Nikt jednak nie odważył się wystąpić bodajby z paroma słowami pociechy, aby wlać nadzieję w jego serce, gdyż nikt nadziei tej nie miał, i każdy był przekonany, że Anna już napewno została zaduszona gazami.

Wtem z pomiędzy zbitych w gromadkę i naradzających się pocichu dzieci wystąpił Tomek, chłopczek najwyżej dziesięcioletni, oświadczając, że według jego przypuszczeń, Anna zapewne znajduje się w bocznym oddziale, w którym zazwyczaj jadła śniadanie z dziećmi; że ta część kopalni jest połączona z pozostałymi oddziałami jednym tylko wązkim korytarzem; że korytarz ten rozpoczyna się niedaleko od windy. Gdyby kto z silniejszych górników zechciał spuścić się do kopalni, to on z największą chęcią wskaże drogę.

Nikt jednak nie miał odwagi do dobrowolnego zagłębienia się w podziemia, ziejące płomieniami i dymem, i do tego pod przewodnictwem dziecka, które łatwo może się mylić w swem przypuszczeniu.

— Gdyby tu szło tylko o doprowadzenie Anny do windy — odezwał się Tomek — to sambym się tam spuścił, i dałbym sobie jako tako radę... Ale może ona zemdląa i potrzebuje ratunku?...

— Ja pójdę z tobą! — żywo przerwał pan Iward, ledwie mogąc utrzymać się na nogach.

To mówiąc, posunął się ku windzie, lecz zachwiał się i omal nie upadł.

— Nie zważaj na to! — zawołał równocześnie — ciało moje wątłe, ale duch silny. Ma zginąć dziecko moje, niechże i ja zginę z niem razem. Chodźmy prędzej!

— Ojcie! — zawołała Marya — i ja z tobą. Czekając tutaj na was, umarłabym z trwogi.

— Dobrze, moja córko, idźmy razem!

Iward śmiało posunął się ku windzie, przy nim szła Marya z Tomkiem.

Gdy już mieli sadowić się w windzie, z pomiędzy zgromadzonego tłumu wybiegł Franciszek, wołając:

— Stójcie! Do kopalni pójdę ja z Tomaszem i nikt więcej.

Na dźwięk jego głosu pan Iward zwrócił się szybko ku niemu.

Zdumienie wyraziło się na jego twarzy.

— Ty tutaj, Franciszku? Co tu robisz?

— Pracuję w kopalni, stryju! — odrzekł młodzieniec, schylając się do rąk pana Iwarda.

— Ależ ja nie mogę pozwolić, abys ty miał iść ratować Annę! Jeśliby miała zginąć — woła Boża, ale przynajmniej nie chcę brać na swoje sumienie odpowiedzialności za śmierć, która tam czeka na ciebie!

— Stryju kochany, wy jej nic nie pomożecie, a nam wielce moglibyście utrudnić nasze zadanie. Miejsce, gdzie prawdopodobnie znajduje się obecnie Anna, znam doskonale, zarówno jak i wiodący tam korytarz. Usuń się wraz z Maryą na stronę, a mnie pozwól ratować Annę. Opiekowałem się nią według możliwości, aż do dzisiejszego dnia, więc nie godzi mi się opuszczać jej w niebezpieczeństwie!

Oświadczenie to poparli wszyscy zgromadzeni.

Iwarda z Maryą odsunięto od windy, a na dół spuszczone Franciszka z Tomkiem, którego zaopatrzone w koszyczek ze środkami do trzeźwienia omdlałych.

Pan Iward patrzył nieruchomem okiem na te przygotowania.

Zdziwienie z powodu spotkania krewniaka, tak dawno niewidzianego, waśnią rodziną oddalonego, ustąpiło przed myślą o niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się córka.

Nie słyszał i nie czuł, co się wkoło niego działo.

Franciszek, stojąc już w koszu windy, rzekł:

— Jeżeli zginiemy w tej pieczarze, polećcie dusze opiece i łasce Opatrzności.

— Tylko, panie Franciszku, nie narażaj się zbyt mocno! — wołano wokoło.

— Owszem, przeciwnie! Zrobię wszystko, co tylko będę mógł uczynić, bo tak dobra dziewczynka, ten anioł kopalni, godną jest wszelkiego z naszej strony poświęcenia.

W kilkanaście sekund później słychać było już tylko samo skrzypienie obracanego koła, wreszcie winda dotknęła ostatniego pokładu i zatrzymała się.

Zadrgały liny.

Tłum zgromadzony, w milczeniu nasłuchiwał. Iward stał tuż nad przepaścią i patrzył w dół, a obok niego stała Marya, zalana łzami.

Minął kwadrans, następnie pół godziny; nasłuchiowano, wpatrywano się w tajemniczą głęb szybu, lecz nie można było dosłyszeć najmniejszego szmeru lub głosu ludzkiego, tak przez wszystkich upragnionego. Tylko w kopalni coś jakby huczało, czasem dało się słyszeć jakie dudnienie, lub głos dalekiego grzmotu, zresztą panowała nieprzerwana cisza.

Iward, błądy i omdlały, padł na kolana, i złożwszy ręce, gorąco modlił się; Marya cichaczem płakała, spoglądając na ojca, a gromadka górników ze współczuciem patrzyła na cierpiącego starca i na lzy biednej Maryi.

Przeszedł jeszcze jeden kwadrans, wszyscy poruszyli się niespokojnie, zaczęli szeptać, że niema możliwości wyratowania Anny, i dwóch ludzi stało się ofiarą swego poświęcenia, gdy nagle lina przy windzie została silnie targniętą, na znak, aby wyciągano kosz. Z pośpiechem rzucono się do pracy, w parę minut wyciągnięto kosz na powierzchnię, lecz w nim ujrzano jednego tylko Tomka.

Ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk strasznego zawodu.

Iward zemdlony padł na ziemię, Marya rzuciła się ku niemu na ratunek.

Coż jednak stało się z Franciszkiem?

Młodzieniec dostawszy się wraz z Tomkiem na sam dół kopalni, zaraz w pierwszym korytarzu znalazł otwór galeryi, prowadzącej do bocznej komory.

Tomek począł pełzać przez szyję podziemi za nim poszedł Franciszek, i po krótkim przeciągu czasu usłyszał radosny okrzyk chłopca:

— Jest! jest! Chodź, panie Franciszku, otrzeźwimy ją, bo ja sam nie dam sobie rady!

Franciszek jaknajprędzej posunął się naprzód, i przy świetle palącej się latarni ujrzął Annę, leżącą bez przytomności na ziemi, a przy niej Toma, zajętego trzeźwieniem omdlałej.

W komorze niewiele było dymu, ale czuć w niej było czad. Anna uległa zabójczemu jego działaniu, i leżała nieruchoma, nie dając najmniejszej oznaki, że życie jeszcze z niej nie uciekło.

Franciszek nie pominął żadnego środka ku przywróceniu omdlałej do przytomności, nacierał jej czoło i twarz, w usta wlewał po kropelce wino, pod nos podsuwał mocno drażniące spirytusy, wreszcie na twarz omdlałej wystąpiły słabe rumieńce, otworzyła i głęboko odetchnęła.

Franciszek, nie tracąc przytomności, polecił Tomkowi, aby wezwał pomocy górników, gdyż sam nie byłby w stanie przenieść osłabionej Anny przez ciasny korytarz, wiodący do windy.

Dzielny chłopiec ruszył szybko z wykonaniem polecenia i natychmiast dwóch górników wraz z nim udało się do kopalni.

ROZDZIAŁ IX

Długie chwile oczekiwania na ich powrót, dla Iwarda i Maryi zdawały się być latami, wreszcie skończyły się. Wszyscy zostali wydobyli: Anna, zupełnie z sił opadła, Franciszek bardzo wycieńczony, i Tomek uśmiechnięty i szczęśliwy, że powiodło się wyratować, choć z takim poświęceniem, kochanego anioła kopalni.

Pan Iward jednak omal nie przyplącił życiem tego wypadku. Leżał długo, pasując się ze śmiercią, wreszcie siły zaczęły mu powracać, i pierwszemi jego słowami, wymówionemi z całą świadomością, były:

— Anno, moje dziecię kochane, i ty dla ojca tylko oddałaś się tak niebezpiecznej pracy w kopalni? A gdy Marya pilnowała mnie, zajmując się dla zarobku praniem bielizny i jej naprawianiem, ty w podziemiu przepędzałaś całe dni w zabójczej atmosferze. Chodźcie, kochane dzieci moje, niechże was pobłogosławię, niech was przytulę do piersi, i podzielę się z wami tem szczęściem, jakie przepelnia moje serce.

Kiedy obie córki ze łzami radości rzuciły się w objęcia ojca, ciesząc się jego powrotem do zdrowia, do pomieszkania wszedł jakiś mężczyzna poważnej postawy, ale wszedł tak cicho, iż przez nikogo nie był dostrzeżony. Stojąc, w milczeniu patrzył z wielkiem wzruszeniem na rodzinę, złączoną wzajemną miłością. Gdy go wreszcie dostrzeżono i obie panienki z wielkim pośpiechem zaczęły ocierać łzy, jakby wstydząc się swego wzruszenia, nieznajomy rzekł z uczuciem:

— Nie kryjcie się, panienki, z waszem zobopólnem przywiązaniem. Łzy, które ronią oczy wasze, są chlubą serca i najdroższym skarbem, którym wasz ojciec pochłubić się może. Przychodzę do was z pewnym interesem. Jestem jednym z właścicieli tej kopalni, a współnikiem moim jest blizki krewny waszego ojca...

Pan Iward podniósł się na pościeli.

— Henryk... właścicielem tej kopalni?.. Nie, to niepodobna, to może tylko jednakowe nazwisko nasuwa to przypuszczenie! Gdyby tak było, to Franciszek przecież...

— Nie pracowałby na chleb powszedni, jako prosty górnik! czy tak? — zapytał z uśmiechem pan Loterby.

Pan Iward potakująco skinął głową.

— Pan Franciszek, jako przyszedł właściciel i dyrektor kopalni, pragnął poznać dokładnie życie górników, aby według możliwości ulżyć ich doli. Dlatego też zapisał się pomiędzy robotników naszej kopalni, aby ci byli dla niego, jako dla towarzysza, z zupełną otwartością. Ale wracam do celu: współnik mój, wasz krewniak, z powodu choroby nie może was odwiedzić. Ze względu na waszą waśń rodzinną, choć wiedział o waszym tutaj pobycie, nie pośpieszył wam z pomocą materyalną, tylko przysłał mnie z następującem poleceniem:

Ty, panno Anno, swoją przytomnością umysłu uratowałaś życie jego synowi Franciszkowi; własną zasługą zdobyłaś sobie poszanowanie prostych robotników, tak, że ci na jedno twoje słowo oprzytomnieli w swoim bezrozumie, i uchronili się od czynu okrucieństwa, jakie zamierzali spełnić. Syn jego winien jest tobie życie, a on, jako ojciec, wieczystą wdzięczność.

— Ależ panie! — szepnęła nieśmiało Anna — jam tylko spełniła obowiązek, nic więcej, tylko obowiązek.

Byłaś aniołem opiekuńczym naszej kopalni, — ciągnął dalej pan Loterby — byłaś wraz z siostrą swą opiekunką chorego ojca...

— I to, panie, było naszym obowiązkiem! — szepnęły obie siostry, rumieniąc się. — Każda dobra córka zrobiłaby to samo, cośmy uczyniły.

— Tak jest, moje panienki kochane, tylko nie każda córka zdobyłaby się na podobne poświęcenie. Ale przystąpię do interesu, będącego celem mych odwiedzin.

A zwracając mowę do pana Iwarda, rzekł:

— Zobowiązał by łaskawy pan bardzo mnie i mego współnika, gdyby pan zechciał objąć urząd kasyera przy naszych zakładach górniczych. Jest to urząd, nie tyle wymagający utrudzenia i długiego ślęczenia, ile odpowiedzialny, dlatego też radziłyśmy widzieć na nim pana, jako człowieka nieposzlakowanej uczciwości. Paniąkom zaś ofiarujemy miejsce nauczycielek przy dzieciach, używanych do roboty w naszej kopalni.

Pan Franciszek, chcąc bliżej poznać się z górnikiem, sam został na jakiś czas górnikiem. Kryjąc swoje stanowisko, zbadał ich położenie, potrzeby, wymagania, i ułożył plan poprawy, który postanowiliśmy wprowadzić w wykonanie. Do najważniejszych środków należy nauka młodego pokolenia, więc zmniejszymy dla dzieci godziny pracy, a czas ten przeznaczymy na naukę w szkółce, której wy, moje paniąki, będziecie przewodniczkami.

Sądzę, iż to będzie najlepszą nagrodą waszej dobroci, gdyż takim sposobem wy i ojciec wasz dojdziecie do spokoju i dostatków, które was niegdyś otaczały.

Na taką ofiarę cóż można było odpowiedzieć?

Pan Iward wyciągnął tylko rękę do pana Loterby i rzekł ze wzruszeniem:

— Bóg ci zapłać, zacny panie!

Obie córki stały, nie wiedząc, czy to sen, czy rzeczywistość, a gdy pan Loterby wręczył im zawiadomienie na piśmie, wzywające do zajęcia posad, nie umiały nawet znaleźć słów na wyrażenie swej wdzięczności dla stryja i pana Loterby.

W parę tygodni później, przy dzielnym użyciu służących ku temu środków, pożar w kopalni został ugaszony, i powoli wszystko wróciło do dawnego porządku. Franciszek objął główny zarząd nad nią, i ciż sami robotnicy, którzy niegdyś tak niesprawiedliwie z nim się obeszli, otoczyli go największym szacunkiem, wierząc w jego przychylność.

Iward z córkami przeniósł się do głównego gmachu zarządu i zajął mieszkanie tuż obok mieszkania swego brata; z powrotem zdrowia zajął się zaraz powierzoną sobie czynnością, córki zaś, po załatwieniu się z obowiązkami nauczycielek, trudniły się szyciem bielizny i robieniem koronek.

Dobrobyt zatem wzmagał się, kłopoty, powstające z niedostatku, znikły, robiono oszczędności, radość i szczęście zakwitły w rodzinie, przedtem tak zubożałej i opuszczonej przez wszystkich.

I cóż to sprawiło?

Miłość i poświęcenie młodej dziewczynki, słabej ciałem, ale silnej duchem; wierzącej, że chętnym do pracy i niepoddającym się rozpaczy Bóg błogosławi, a ludzie pomagają.

ROZDZIAŁ X

Tak przeszło lat kilka. W zacnej tej rodzinie nic się nie zmieniło, tylko pan Iward troszkę się przygarbił i posiwił. Godziny wolne od pracy spędzał razem z bratem, opowiadając mu o zmianach losu, jakie przechodził i nawzajem słuchając opowieści jego.

Dziewczątka wyrosły, jak dwa kwiatki, nie błyszczące wielką urodą, ale ujmujące szczególniejszą dobrocią, jaka ożywiała ich lica i oczy. Szanowano je też powszechnie: dzieci je kochały, rodzice chwalili, a górnicy zawsze nazywali Annę swoim aniołem opiekuńczym.

Pewnego dnia przed niewielkim, lecz miłym dworkiem, w odległości wiorsty od kopalni, zebrała się wielka gromada górników, odświętnie ubranych. Na przodzie stało kilkanaście dziewczątek w białych sukienkach, oczekujących na czyjeś przybycie. Było to w końcu maja, więc też cała droga i cały dworek były przybrane zielenią, a w rękach wszystkich zgromadzonych były bukiety kwiatów. Widocznie miała się tu odbyć jakaś wielka uroczystość. Tłum górników w milczeniu rzucał oczyma na drogę, prowadzącą do niedalekiego kościołka, a gdy pokazały się na niej szybko posuwające się naprzód powozy, górnicy stanęli dwoma rzędami przy drodze, z białą ubranymi dziewczynkami na przodzie.

— Jadą, już jadą! — powtarzano cichym szeptem.

Gdy powozy zajechały przed dworek, z pierwszego wyskoczył Franciszek, zanim zstąpił z wolna po stopniu starszek ksiądz, ubrany pod płaszczem w komżę i stułę.

Franciszek podbiegł do następnego powozu, i dopomógł wyjść z niego Annie, jej siostrze Maryi, oraz panu Iwardowi. Z trzeciego wyszedł brat pana Iwarda wraz ze swym współnikiem.

Wszyscy przyjezdni zbliżyli się ku domowi, idąc wśląd za kapłanem, który obchodził cały dom z błogosławieństwem.

Po skończonym obrzędzie wszyscy wyszli znów na ganek, gdzie powitały ich gromkie okrzyki zgromadzonych górników.

Dworek ten wraz z przyległym, dość dużym obszarem dobrej, urodzajnej ziemi, został nabyty przez pana Iwarda, za zaoszczędzone w ciągu kilku lat pieniądze. Kupił go zaś dlatego, aby zyskać dla siebie i córek własny dach nad głowę, i zabezpieczenie przyszłości. Po poświęceniu domu Iward zatrzymał wszystkich swych gości na skromne, lecz doskonale przygotowane śniadanie. Obszerny plac przed dworem zastawiono stołami, za którymi wraz z gośćmi zasiedli i wszyscy zgromadzeni górnicy. Przy końcu śniadania jeden z nich podniósł się i zwróciwszy się ku Annie, w prostych, lecz serdecznych słowach wyraził jej wdzięczność, którą czują ku niej wszyscy górnicy za opiekę, jaką otaczała ich dziatki, za pomoc i pociechę, z jaką w razie potrzeby śpieszyła ku nim bez wahania. Przemowę swą zakończył szczerymi życzeniami wszelkich pomyślności dla Anny i całej jej rodziny.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#).

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/aniol-kopalni-wegla>

Tekst opracowany na podstawie: Juliusz Verne, *Anioł kopalni węgla. Powieść dla młodzieży*, tłum. anonimowy, Nakł. Redakcji „Przyjaciela dzieci”, Warszawa 1903.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-1006-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).